



KEN FOLLETT

LWY PANSZIRU



1

Mężczyźni planujący zabójstwo Ahmeta Yilmaza byli ludźmi poważnymi. Ci wydaleny z kraju tureccy studenci mieszkający obecnie w Paryżu mieli już na swoim koncie morderstwo attache ambasady tureckiej oraz wysadzenie w powietrze domu dyrektora Turkish Airlines. Na swój następny cel wybrali Yilmaza. Po pierwsze dlatego, że był bogatym sponsorem wojskowej dyktatury, a po drugie dlatego, że mieszkał sobie wygodnie w Paryżu.

Jego dom i biuro były dobrze strzeżone, a luksusowy mercedes opancerzony, ale studenci wychodzili z założenia, że każdy człowiek ma swój słaby punkt i że jest to na ogół seks. Jeśli chodziło o Yilmaza — nie mylili się. Kilka tygodni wyrywkowej inwigilacji pozwoliło stwierdzić, że Yilmaz dwa lub trzy razy w tygodniu wychodzi wieczorem z domu, wsiada do renaulta kombi, którym jego służba jeździ po zakupy, i udaje się na spotkanie z piękną, zakochaną w nim Turczynką mieszkającą przy cichej uliczce w Piątej Dzielnicy.

Studenci postanowili podłożyć bombę w renaulcie, w czasie gdy Yilmaz będzie w łóżku ze swoją kochanką.

Zdobycie materiału wybuchowego nie powinno stanowić problemu: skontaktują się z Pepe Gozzim, jednym z wielu synów korsykańskiego ojca chrzestnego Meme Gozziego. Pepe

był handlarzem broni i sprzedawał ją każdemu, ale wolał klientów kierujących się pobudkami politycznymi, bo — jak przyznawał z rozbrajającą szczerością — „idealiści lepiej płacą”. Pomagał już tureckim studentom przy dwóch wcześniejszych zamachach, które przeprowadzili.

Plan podłożenia bomby miał jednak słaby punkt. Yilmaz odjeżdżał renaultem spod domu dziewczyny zazwyczaj sam — ale nie zawsze. Czasami zapraszał ją na obiad. Często ona sama brała wóz i wracała po półgodzinie obładowana pieczywem, owocami, serem i winem, sprawunkami przeznaczonymi najwyraźniej na kameralną ucztę we dwoje. Zdarzało się też, że Yilmaz zostawiał na parę dni wóz dziewczynie, sam zaś wracał do domu taksówką. Studenci byli romantykami, jak wszyscy terroryści, i nie chcieli wystawiać na niebezpieczeństwo życia pięknej kobiety, której jedyną zasługującą jednak na wybaczenie zbrodnią było to, że pokochała niegodnego siebie mężczyznę.

Przedyskutowali ten problem. Wszelkie decyzje podejmowali przez głosowanie i nie uznawali żadnych przywódców. Ale mimo wszystko znajdował się wśród nich ktoś, kto z racji siły swej osobowości dominował nad grupą. Nazywał się Rahmi Coskun i był przystojnym, porywczym młodzieńcem o bujnym wąsie i natchnionych oczach człowieka, któremu pisana jest sława. To dzięki jego energii i determinacji udało się, mimo licznych przeszkód i znacznego ryzyka, przeprowadzić dwie poprzednie akcje. Rahmi poddał myśl skonsultowania się z ekspertem od bomb.

Z początku ten pomysł nikomu się nie spodobał. Komu można zaufać? — pytali. Rahmi zaproponował Ellisa Thalera, Amerykanina, który podawał się za poetę, ale naprawdę utrzymywał się z udzielania lekcji angielskiego, a obchodzenia z materiałami wybuchowymi nauczył się jako poborowy w Wietnamie. Rahmi znał go chyba od roku: pracowali razem w redakcji efemerycznej rewolucyjnej gazety zatytułowanej „Chaos” i wspólnie organizowali wieczorki poetyckie, z których dochody zasilały fundusz na rzecz Organizacji Wyzwolenia

Palestyny. Zdawało się, że Amerykanin rozumie wściekłość Rahmiego wywołaną tym, czego dopuszczano się wobec Turcji, i jego nienawiść do barbarzyńców, którzy brali w tym udział. Kilku innych studentów również znało Ellisa, choć tylko przelotnie. Widziano go na paru demonstracjach — przypuszczali więc, że jest absolwentem uczelni albo młodym profesorem. Wciąż jednak mieli opory przed przyjęciem w swe szeregi nie-Turka. Ale Rahmi nalegał i w końcu się zgodzili.

Ellis natychmiast znalazł rozwiązanie ich problemu.

Bombę należy wyposażyć w sterowany radiem zapalnik — powiedział.

Rahmi usadowi się albo w oknie naprzeciwko mieszkania dziewczyny, albo w zaparkowanym na ulicy samochodzie. Będzie obserwował renaulta. I trzymał w ręku mały nadajnik radiowy wielkości paczki papierosów, coś w rodzaju urządzenia do automatycznego otwierania drzwi garażu bez wysiadania z samochodu. Jeśli Yilmaz wsiądzie do wozu sam, tak jak najczęściej się zdarzało, Rahmi naciśnie przycisk nadajnika i sygnał radiowy pobudzi zapalnik zegarowy bomby, która zostanie w ten sposób uaktywniona i wybuchnie, gdy tylko Yilmaz uruchomi silnik. Gdyby jednak do samochodu wsiadła dziewczyna, Rahmi przycisku nie naciśnie i ta będzie sobie mogła odjechać w błogiej nieświadomości. Bomba jest absolutnie nieszkodliwa, dopóki się jej nie uaktywni.

— Bez naciśnięcia przycisku nie dochodzi do wybuchu — zakończył swój wywód Ellis.

Rahmiemu spodobał się ten pomysł. Zapytał więc Ellisa, czy ten nie zechciałby współpracować z Pepe Gozzim przy produkcji bomby.

Thaler odpowiedział, że nie ma sprawy.

Potem w planie pojawiła się jeszcze jedna skaza.

— Mam przyjaciela — powiedział Rahmi do Ellisa i Pepe — który chce się z wami spotkać. Prawdę mówiąc, musicie się z nim zobaczyć, inaczej cała sprawa weźmie w łeb, bo to właśnie ten przyjaciel daje nam pieniądze na materiały

wybuchowe, samochody, łapówki, broń, no, na wszystko.

— A po co chce się z nami widzieć — dopytywali się Ellis i Pepe.

— Musi się upewnić, czy bomba nie zawiedzie. Chce również sprawdzić, czy może wam zaufać — wyjaśnił przepraszającym tonem Rahmi. — Wystarczy, że przyniesiecie do niego bombę, objaśnicie zasadę jej działania, uściśnicie mu dłonie i dacie sobie spojrzeć w oczy. Czy to zbyt wygórowane żądania jak na człowieka, dzięki któremu możliwa jest cała nasza działalność?

— Jeśli o mnie chodzi, to nie ma sprawy — powiedział Ellis.

Pepe się wahał. Chodziło mu tylko o pieniądze, które spodziewał się zarobić na tym interesie — pieniędzy było mu wciąż mało, tak jak świni wciąż mało jest żarcia w korycie — ale nie znosił zawierania nowych znajomości.

Ellis pomógł mu podjąć decyzję.

— Posłuchaj — powiedział — te studenckie grupy rozkwitają i usychają jak mimoza na wiosnę jestem przekonany o tym, że Rahmi wkrótce się skończy. Jeśli jednak poznasz jego „przyjaciela”, będziesz mógł z nim ciągnąć interes, kiedy Rahmiego zabraknie.

— Masz rację — przyznał Pepe, który nie był geniuszem, ale w lot chwycił zasady prowadzenia interesów, zwłaszcza gdy wykładano mu je w tak przystępny sposób.

Ellis powiadomił Rahmiego, że Pepe się zgadza, i Rahmi umówił ich na spotkanie w nadchodzącą niedzielę.

Tego ranka Ellis obudził się w łóżku Jane. Ocknął się raptownie, ogarnięty uczuciem lęku jak po sennym koszmarze. Po chwili przypomniał sobie powód swego napięcia.

Rzucił okiem na zegarek. Było jeszcze wczesnie. Przepowiedział sobie w myślach cały plan. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dzisiejszy dzień będzie triumfalnym uwieńczeniem żmudnej, ostrożnej, trwającej ponad rok pracy. I

jeśli pod koniec dnia będzie jeszcze wśród żywych, razem z Jane uczci swoje zwycięstwo.

Ostrożnie, tak by jej nie obudzić, odwrócił głowę i spojrzał na nią. Na widok twarzy Jane serce jak zawsze żywiej zabiło mu w piersi. Leżała na wznak z zadartym nosem wycelowanym w sufit, a jej ciemne włosy rozsypały się na poduszce niczym rozpostarte skrzydła ptaka. Popatrzył na szerokie, pełne wargi, które tak często i tak namiętnie go całowały. Wiosenne słońce podkreślało gęsty blond meszek, pokrywający dolną część jej policzków. Kiedy chciał jej dokuczyć, nazywał go brodą.

Rzadko miał szczęście oglądania jej taką jak teraz, leżącą spokojnie z odprężoną, niewyrażającą niczego twarzą. Zwykle bywała ożywiona, śmiała się, chmurzyła, krzywiła, przybierała minę pełną zdziwienia lub sceptycyzmu, a czasem też współczucia. Najczęściej jednak na jej twarzy gościł figlarny uśmieшек, jak u psotnego chłopca, który właśnie obmyślił szczególnie szatański psikus. Taka jak teraz bywała tylko podczas snu albo kiedy się głęboko zamyśliła. I taką kochał ją najbardziej. Gdy pogrążona w nieświadomości nie kontrolowała swoich emocji, jej wygląd zdradzał omdlewającą zmysłowość płonącą tuż pod powierzchnią niczym leniwy, gorący podziemny wulkan. Na ten widok korciło go, by jej dotknąć.

Wciąż jeszcze go to zaskakiwało. Gdy spotkali się po raz pierwszy, a było to wkrótce po jego przybyciu do Paryża, zrobiła na nim wrażenie typowej wojującej aktywistki, z tych, które zawsze przebywają wśród młodych radykałów ze stołecznych miast. Zasiadając w rozmaitych komitetach, organizując kampanie przeciwko apartheidowi oraz na rzecz rozbrojenia nuklearnego, kroczą na czele marszów protestacyjnych przeciwko wojnie w Salwadorze, a także przeciwko zanieczyszczaniu wód, zbierają datki na głodujących mieszkańców Czadu lub usiłują lansować utalentowanego młodego filmowca. Ludzi przyciągała uderzająca uroda Jane, zniewalał urok osobisty, udzielał się też jej entuzjazm. Ellis

umówił się z nią parę razy dla samej tylko przyjemności obserwowania ładnej dziewczyny pałaszującej z apetytem stek. A potem — nie pamiętał nawet dokładnie, jak to się stało — odkrył, że w tej roztrzepanej pannicy żyje namiętna kobieta, i się zakochał.

Błądził wzrokiem po jej małym mieszkanku. Rozpoznawał z przyjemnością sprzęty nadające temu wnętrzu jej piętno: ładną lampę wykonaną z chińskiej wazy półkę z książkami o ekonomii nędzy na świecie przepastną, miękką sofę, w której można było utonąć, fotografię ojca, przystojnego mężczyzny w dwurzędowej marynarce, zrobioną chyba na początku lat sześćdziesiątych, mały srebrny puchar, który przed dziesięciu laty, w roku 1971, zdobyła za jazdę na swoim kucyku Dandelionie. Miała wtedy trzynaście lat, a ja dwadzieścia trzy, pomyślał Ellis. I kiedy ona wygrywała zawody kucyków w Hampshire, ja byłem w Laosie i zakładałem miny przeciwpiechotne na Szlaku Ho Chi Minha.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył to mieszkanie, a od tamtej chwili minął już prawie rok, Jane dopiero co przeprowadziła się tu z przedmieścia i Ellis zasatał tu wtedy właściwie same gołe ściany. Zwyczajny pokój na poddaszu z kuchenką we wnęce, kabiną natryskową i toaletą w korytarzu. Stopniowo przekształciła tę ponurą mansardę w uroczne gniazdko. Jako tłumacz z francuskiego i rosyjskiego na angielski zarabiała dobrze, ale płaciła duży czynsz — mieszkanie znajdowało się blisko bulwaru St. Michel — wydawała więc pieniądze rozważnie, odkładając na upatrzony mahoniowy stół, antyczne łóże i kobierzec z Tebrizu. Należała do kobiet, o których ojciec Ellisa mawia, że mają klasę. Polubisz ją, tato, pomyślał Ellis. Oszalejesz na jej punkcie.

Przekręcił się na bok, twarzą do niej, i tak jak się spodziewał, ten ruch ją obudził. Jej wielkie niebieskie oczy wpatrywały się przez ułamek sekundy w sufit, potem Jane spojrzała na niego, uśmiechnęła się i też przekręciła na bok, trafiając prosto w jego ramiona.

— Cześć — wyszeptała.

Pocałował ją. Wzwód był natychmiastowy. Leżeli przez chwilę w półśnie, wtuleni w siebie, całując się raz po raz. Potem zarzuciła mu nogę na biodro i zaczęli się kochać w milczeniu i bez pośpiechu.

Kiedy po raz pierwszy zostali kochankami i potem, kiedy zaczęli uprawiać miłość rankami, nocami, często nawet popołudniami, Ellis przypuszczał, że ta namiętność nie przetrwa długo i że po kilku dniach, no, może po kilku tygodniach, czar nowości pryśnie i będą się kochać dwa i pół razy na tydzień, czy ile tam wynosi statystyczna przeciętna. Mylił się. Minał rok, a oni wciąż nie mieli siebie dosyć i zachowywali się jak para nowożeńców w czasie miodowego miesiąca.

Położyła się na nim i przywarła doń całym ciężarem. Wilgotna skóra ich ciał przylgnęła do siebie. Otoczył ramionami jej drobne ciało i przytulając ją mocno, wszedł w nią głębokim pchnięciem. Wyczuła, że jego podniecenie sięga szczytu, uniosła więc głowę i spojrzała na niego, a potem, kiedy spełniał się w niej, pocałowała go rozchylonymi ustami. Chwilę później wydała cichy, niski jęk i z kolei on poczuł, jak przedłużonymi, łagodnymi skurczami ona osiąga poranny niedzielny orgazm. Pozostała na nim, wciąż na wpół tylko rozbudzona. Poglądził ją po włosach.

Po chwili się poruszyła.

— Wiesz, jaki dziś dzień? — wymamrotała sennie.

— Niedziela.

— To twoja kolej na robienie lunchu.

— Nie zapomniałem.

— To dobrze. — Przez chwilę trwało milczenie. — Czym mnie dziś uraczysz?

— Będą ziemniaki, stek, groszek, owczy ser, truskawki krem Chantilly.

Roześmiała się i uniosła głowę.

— Zawsze to robisz!

— Wcale nie. Ostatnio była fasolka po bretońsku.

— A przedtem w ogóle zapomniałeś i jedliśmy na mieście. Może byś urozmaicił trochę swoją kuchnię?

— Zaraz, zaraz. Zgodnie z umową przyrządzamy lunch na zmianę, co drugą niedzielę. Nie było mowy o tym, że za każdym razem ma to być inny lunch.

Osunęła się znowu na niego, udając, że uznaje się za pokonaną.

Przez cały czas nie opuszczała go myśl o zadaniu, które dziś go czekało. Będzie potrzebował nieświadomej pomocy Jane i teraz nadarzał się właściwy moment, by ją o to poprosić.

— Muszę się dziś rano zobaczyć z Rahmim — zaczął.

— W porządku. Wpadnę do ciebie później.

— Gdybyś zjawiała się u mnie troszeczkę wcześniej, to mogłabyś mi wyświadczyć pewną przysługę.

— Jaką? — spytała.

— Przyrządzić lunch. Nie! Nie! Żartowałem. Chciałem, żebyś mi pomogła w przygotowaniu małego spisku.

— Mów, nie krępuj się.

— Dzisiaj są urodziny Rahmiego i przyjechał jego brat Mustafa, ale Rahmi nic o tym nie wie. — Jeśli się uda, przyrzekł sobie w duchu Ellis, nigdy więcej cię nie okłamię. — Chcę to tak urządzić, żeby Mustafa zjawił się na przyjęciu u Rahmiego niespodziewanie. Ale do tego potrzebny mi współnik.

— Właśnie go znalazłeś — zdecydowała. Zsunęła się z niego i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Piersi miała jak jabłka, gładkie, krągłe i twarde. Końce jej włosów ocierały się miękko o sutki. — Co mam robić?

— To bardzo proste. Muszę powiedzieć Mustafie, dokąd ma przyjść, ale Rahmi jeszcze nie zdecydował, gdzie urządzi to przyjęcie. Będę więc musiał przekazać Mustafie tę wiadomość w ostatniej chwili. A kiedy zatelefonuję, Rahmi prawdopodobnie będzie stał koło mnie.

— I jak chcesz z tego wybrnąć?

— Zadzwonię do ciebie. Będę wygadywał jakieś bzdury. Puść wszystko mimo uszu i zapamiętaj tylko adres. Zatelefonuj

potem do Mustafy, podaj mu ten adres i powiedz, jak się tam dostać. — Gdy obmyślał całą tę intrygę, wszystko brzmiało zupełnie prawdopodobnie, ale teraz wydało mu się szyte bardzo grubymi nićmi.

Jednak po Jane nie było widać, aby nabrała jakichś podejrzeń.

— To nic trudnego — stwierdziła.

— Świetnie — powiedział wesoło Ellis, nie dając po sobie poznać, jak mu ulżyło.

— A kiedy będziesz w domu, licząc od tego telefonu?

— Niecałą godzinę później. Chcę zaczekać i zobaczyć, jak Rahmi zareaguje na tę niespodziankę, ale od lunchu jakoś się wymówię.

Jane nagle się zachmurzyła.

— Ciebie zaprosili, a mnie nie.

Ellis wzruszył ramionami.

— To chyba uroczystość w męskim gronie. — Sięgnął po leżący na nocnym stolyczku notes i zapisał w nim „Mustafa” z numerem telefonu obok.

Jane wstała z łóżka i poszła do kabiny, żeby wziąć prysznic. Otworzyła drzwi i przekreśliła kurek. Jej nastrój się zmienił. Nie uśmiechała się już.

— Co cię ugryzło? — spytał Ellis.

— Nic mnie nie ugryzło — odparła. — Tylko czasami nie podoba mi się sposób, w jaki traktują mnie twoi przyjaciele.

— Wiesz przecież, jacy są Turcy w stosunku do dziewcząt.

— No właśnie, dziewcząt. Nie mają nic przeciwko szanującym się kobietom, ale ja przecież jestem dziewczyną.

Ellis westchnął.

— To nie w twoim stylu, żeby przejmować się zadawnionymi uprzedzeniami garstki szowinistów. Powiedz, co ci naprawdę leży na sercu?

Przez chwilę stała nago obok natrysku, zastanawiając się. Wyglądała tak ponętnie, że Ellis znowu nabrał na nią ochoty.

— Wydaje mi się — powiedziała wreszcie — że mężczy mnie po prostu moja sytuacja. Wszyscy wiedzą, że się

zaangażowałam. Nie śpiam z nikim innym, nawet nie pokazuję się na mieście z innymi mężczyznami. Ale twojego zaangażowania nie widzę. Nie mieszkamy ze sobą, nie wiem, gdzie chodzisz ani co robisz przez większość czasu, nigdy nie spotkał się z rodzicami któregoś z nas... a ludzie to widzą i traktują mnie jak dziwkę.

— Chyba przesadzasz.

— Zawsze tak mówisz.

Weszła pod prysznic i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ellis wyjął brzytwę z szuflady, w której trzymał swoje przybory toaletowe, i zaczął się golić nad kuchennym zlewem. Nieraz już, często nawet w ostrzejszej formie, dyskutowali na ten temat i doskonale wiedział, o co chodzi: Jane chciała, żeby zamieszkali razem.

Oczywiście, on też tego pragnął; pragnął ją poślubić, związać się z nią na resztę życia. Ale z tym musiał poczekać, aż wywiąże się ze swojej misji. Tego jednak nie mógł jej powiedzieć, wymigiwał się więc odpowiedziami w rodzaju „nie jestem jeszcze gotów” albo „potrzeba mi czasu”, a te niezrozumiałe uniki tylko ją złościły. Dla niej rok był wystarczająco długim okresem, by po mężczyźnie, którego kochała, oczekiwać jakiegoś zaangażowania. I miała oczywiście rację. Ale jeśli dzisiaj wszystko pójdzie dobrze, Ellis będzie mógł wreszcie rozwiązać tę kwestię.

Skończył golenie, owinął brzytwę w ręcznik i schował do swojej szufladki. Jane wyszła spod prysznica, zajął więc jej miejsce. Nie odzywamy się do siebie, pomyślał. Jakoś głupio wyszło.

Gdy brał prysznic, Jane zaparzyła kawę. Ubrał się szybko w wytarte dżinsy i czarny podkoszulek z krótkimi rękawkami i usiadł naprzeciwko dziewczyny przy małym mahoniowym stolicku.

— Chcę z tobą poważnie porozmawiać — powiedziała, rozlewając kawę do filiżanek.

— Zgoda — przystał skwapliwie — najlepiej przy lunchu.

— A dlaczego nie teraz?

— Nie mam czasu.

— Czy urodziny Rahmiego są ważniejsze od naszego związku?

— Naturalnie, że nie. — Ellis usłyszał w swym tonie irytację i wewnętrzny głos ostrzegł go: „Uważaj, możesz ją stracić”. — Ale obiecałem, a dotrzymywanie obietnic jest dla mnie bardzo ważne. A to, czy odbędziemy tę rozmowę teraz, czy później, nie ma chyba większego znaczenia.

Twarz Jane przybrała tak dobrze mu znany zawzięty, nieustępliwy wyraz, który pojawiał się zawsze, gdy podjęła już jakąś decyzję, a ktoś usiłował ją od niej odwieść.

— A dla mnie ma znaczenie, żebyśmy porozmawiali teraz — oświadczyła stanowczo.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć jej całą prawdę. Ale nie tak to sobie wcześniej zaplanował. Czasu było mało, myśli miał zajęte czym innym i nie był przygotowany do rozmowy. Lepiej odłożyć to na później, kiedy oboje się rozluźnią i będzie mógł jej oznajmić, że jego misja w Paryżu dobiegła końca.

— Wydaje mi się, że sama nie wiesz, czego chcesz, a ja nie dam się terroryzować — powiedział. — Proszę cię, odłóżmy tę rozmowę na później. Teraz muszę już lecieć. — Wstał.

— Jean-Pierre zaproponował mi, żebym pojechała z nim do Afganistanu — rzuciła za nim, gdy był już przy drzwiach.

Zaskoczenie było tak wielkie, że minęła dłuższa chwila, zanim do Ellisa dotarł sens jej słów.

— Mówisz poważnie? — spytał z niedowierzaniem.

— Absolutnie poważnie.

Ellis wiedział, że Jean-Pierre jest zakochany w Jane. Tak samo zresztą jak pół tuzina innych mężczyzn: w przypadku takiej dziewczyny było to nieuniknione. Żadnego z tych mężczyzn nie można było jednak uważać za poważnego rywala. Tak przynajmniej sądził aż do tej chwili. Powoli dochodził do siebie.

— Chciałabyś zakwefiona zwiedzać strefę działań wojennych?

— To nie jest temat do żartów! — zaperzyła się. — Mówię o moim życiu.

Potrząsnął z powątpiewaniem głową.

— Nie możesz jechać do Afganistanu.

— Dlaczego?

— Bo mnie kochasz.

— To nie znaczy, że muszę być do twojej wyłącznej dyspozycji.

Przynajmniej nie powiedziała: „Nie, nie kocham cię”. Spojrzał na zegarek. Śmieszne — za kilka godzin zamierzał jej opowiedzieć wszystko, co chciała usłyszeć.

— Wcale tak nie uważam — powiedział. — Mówimy o naszej przyszłości, a do takiej rozmowy trzeba się przygotować.

— Nie będę czekała w nieskończoność — oznajmiła.

— Przecież nie wymagam, żebyś czekała w nieskończoność, proszę tylko, żebyś zaczekała do lunchu. — Dotknął jej policzka. — Nie kłóćmy się o te parę godzin.

Wstała i pocałowała go mocno w usta.

— Nie pojedziesz do Afganistanu, prawda? — spytał.

— Nie wiem — odparła szczerze.

— Byle tylko nie przed lunchem — zdobył się na uśmiech.

Uśmiechnęła się także i skinęła głową.

— O to możesz być spokojny.

Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i wyszedł.

Szerokie bulwary Champs-Élysées roiły się od turystów i paryżan, którzy korzystając z ciepłego wiosennego słońca, wylegli na poranną przechadzkę i kłębili się tłumnie na chodnikach oraz wypełniali szczelnie wszystkie kawiarniane ogródki. Ellis stał w pobliżu umówionego miejsca z plecakiem, który nabył w sklepiku z tanimi wyrobami kaletniczymi. Wyglądał na Amerykanina podróżującego autostopem po Europie.

Szkoda, że Jane akurat ten dzień wybrała sobie na kłótnię:

będzie teraz rozpamiętywała tę rozmowę i zanim się z nim spotka, wprawi się w wojowniczy nastrój.

No nic, będzie musiał poświęcić trochę czasu na wygładzenie jej nastroszonych piórek.

Usunął Jane ze swych myśli i skoncentrował się na czekającym go zadaniu.

Jeśli chodzi o tożsamość „przyjaciela” Rahmiego, tego, który finansował ich małą terrorystyczną grupę, istniały dwie możliwości. Mógł to być bogaty, kochający wolność Turek, który kierując się pobudkami politycznymi lub osobistymi, doszedł do wniosku, że w walce z wojskową dyktaturą i jej poplecznikami przemoc jest całkowicie usprawiedliwiona. Gdyby tak było, Ellis czułby się zawiedziony.

Mógł to być również Borys.

W kręgach, w których obracał się Ellis — wśród obnoszących się z rewolucyjnymi poglądami studentów, palestyńskich uchodźców, niepełnoetatowych wykładowców nauk politycznych, wydawców podle drukowanych ekstremistycznych pisemek, anarchistów i maoistów, Ormian i wojujących wegetarianów — Borys był postacią legendarną. Krążyły pogłoski, że to Rosjanin, funkcjonariusz KGB, skory do finansowania wszelkich lewackich aktów przemocy na Zachodzie. Wielu wątpiło w jego istnienie, a zwłaszcza ci, którzy bezskutecznie próbowali uzyskać finansowe wsparcie Rosjan. Ale Ellis zauważył, że od czasu do czasu jakaś grupa, która od miesięcy nie robiła nic poza uskarżaniem się, że nie stać jej nawet na powielacz, przestawała nagle mówić o pieniądzach i stawiała się bardzo czuła na punkcie ostrożności; później następowały jakieś porwania, jakaś strzelanina albo zamach bombowy.

Zdaniem Ellisa nie ulegało wątpliwości, że pieniądze na utrzymanie takich grup jak dysydenci tureccy pochodzą od Rosjan: nie potrafiliby się oprzeć, mając przed sobą tak tani i mało ryzykowny sposób siania fermentu. Poza tym również Stany Zjednoczone finansowały porwania i morderstwa w

Ameryce Środkowej i Ellis nie potrafił sobie wyobrazić, by Związek Radziecki miał większe skrupuły niż jego ojczysty kraj. A ponieważ przy tego typu działalności pieniędzy nie trzyma się na kontach bankowych ani nie przysyła telegraficznie, ktoś musi przekazywać banknoty z ręki do ręki. Wynikało z tego, że Borys istnieje.

Ellis cholernie chciał go poznać.

Rahmi przeszedł obok niego dokładnie o dziesiątej trzydziści. Ubrany był w różową koszulę Lacoste, i nieskazitelnie odprasowane brązowe spodnie. Wyglądał na zdenerwowanego. Rzucił Ellisowi rozgorączkowane spojrzenie i odwrócił głowę.

Ellis ruszył jego śladem, trzymając się, tak jak wcześniej uzgodnili, dziesięć do piętnastu jardów za nim.

W ogródku następnej kawiarni rozpierała się muskularna, otyła postać Pepe Gozziego odzianego w czarny, jedwabny garnitur, jakby Pepe zawitał tu prosto z mszy — co zresztą nie było wykluczone. Na kolanach trzymał duży neseser. Wstał i dołączył do Ellisa, niemal się z nim zrównując, w taki jednak sposób, że postronny obserwator nie mógłby z całą pewnością stwierdzić, czy idą razem, czy też nie.

Rahmi kierował się pod górę, w stronę Łuku Triumfalnego.

Ellis obserwował Pepe kątem oka. Korsykanin odznaczał się zwierzęcym instynktem samozachowawczym: sprawdzał dyskretnie, czy nikt go nie śledzi — raz, kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy i całkiem naturalnie mógł obejrzeć się na bulwar, czekając na zmianę świateł, i potem znowu, kiedy mijali narożny sklep, którego skośna witryna pozwalała mu dostrzec odbicia ludzi podążających za nim.

Ellis lubił Rahmiego, Pepe zaś nie wzbudzał w nim sympatii. Rahmi był szczery i kierował się wzniosłymi zasadami, a ludzie, których zabił, przypuszczalnie zasłużyli na śmierć. Pepe był zupełnie inny. Robił to dla pieniędzy i dlatego, że był za prymitywny i za głupi, by przetrwać w świecie legalnego biznesu.

Trzy przecznice na wschód od Łuku Triumfalnego Rahmi skreślił w boczną uliczkę. Ellis i Pepe uczynili to samo. Przeszli za Rahmim na drugą stronę jezdni i weszli do hotelu Lancaster.

A więc tu byli umówieni. Ellis żywił nadzieję, że spotkanie odbędzie się w hotelowym barze albo w restauracji: w miejscu publicznym czułby się bezpieczniej.

Kiedy wchodziło się z rozgrzanej ulicy do wyłożonego marmurami holu odczuwało się przyjemny chłód. Ellis zadyszał. Portier w smokingu spojrzał z ukosa na jego dżinsy. Rahmi zmierzał już do maleńkiej windy w drugim końcu westybulu w kształcie litery L. A zatem będzie to hotelowy pokój. Trudno. Ellis wszedł za Rahmim do kabiny, a za nim wcisnął się Pepe. W czasie jazdy nerwy Ellisa były napięte jak postronki. Wysiedli na czwartym piętrze. Rahmi doprowadził ich pod pokój numer 41 i zapukał.

Ellis usiłował nadać swej twarzy wyraz spokoju i obojętności. Drzwi uchyliły się wolno.

To był Borys. Ellis pojął to natychmiast, gdy tylko jego oczy spoczęły na tym człowieku. Serce zabiło mu triumfalnie, a jednocześnie przeszedł go zimny dreszcz strachu. Z całej postaci mężczyzny, od pospolitej fryzury po topornie praktyczne buty, załatywało Moskwą, a z jego twardego, taksującego spojrzenia i brutalnego układu ust wyzierał niezaprzeczalnie styl KGB. Ten człowiek w niczym nie przypominał Rahmiego ani Pepe; nie był ani w gorącej wodzie kąpanym idealistą, ani perfidnym mafioso. Wyglądał jak profesjonalny terrorysta o kamiennym sercu, który nie zawahałby się przed rozwaleniem łba któremuś z trzech stojących teraz przed nim ludzi, a gdyby było to konieczne, załatwiłby ich wszystkich.

Długo cię szukałem, pomyślał Ellis.

Uchyliwszy drzwi do połowy, tak by osłonić się nimi częściowo, Borys mierzył ich przez chwilę wzrokiem, po czym cofnął się o krok.

— Wchodźcie — powiedział po francusku.

Weszli do salonu apartamentu hotelowego. Był dosyć

luksusowo urządzone, a jego umeblowanie stanowiły fotele, stoliczki do kawy i kredens wyglądający na osiemnastowieczny antyk. Na dosuniętym do samej ściany delikatnym stolicku o kabłąkowatych nóżkach leżał karton marlboro i stała litrowa butelka wolnocłowej brandy. Na wpół uchylone drzwi w drugim rogu pokoju prowadziły do sypialni.

Rahmi przedstawił ich sobie z nerwową niedbałością:

— Pepe. Ellis. Mój przyjaciel.

Borys był barczystym mężczyzną ubranym w białą koszulę z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi mięsiste, owłosione przedramiona. Jego niebieskie serżowe spodnie były zbyt ciepłe jak na tę pogodę. Na oparciu krzesła wisiała marynarka w czarno-brązową kratę, zdecydowanie niepasująca do niebieskich spodni.

Ellis położył plecak na dywanie i usiadł.

Borys wskazał na butelkę brandy.

— Napijcie się czegoś?

Ellis nie miał ochoty na brandy o jedenastej rano.

— Tak — powiedział — poproszę o kawę.

Borys rzucił mu twarde wrogie spojrzenie.

— No to wszyscy napijemy się kawy — burknął i podszedł do telefonu. Przywykł do tego, że wszyscy się go boją, pomyślał Ellis. Nie podoba mu się, że traktują go jak równego sobie.

Rahmi wyraźnie czuł przed Borysem respekt i siedział jak na szpilkach, zapinając i rozpinając górny guzik swej koszulki polo, podczas gdy Rosjanin zamawiał telefonicznie kawę.

— Cieszę się, że cię wreszcie poznałem — zwrócił się Borys do Pepe po francusku. — Wydaje mi się, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Pepe skinął milcząco głową. Siedział na samym brzeжку obitego aksamitem fotela, a jego potężne cielsko opięte czarnym garniturem wyglądało na tym wykwinnym meblu dziwnie krucho, jakby lada chwila miało się rozpaść na kawałki. Pepe ma wiele wspólnego z Borysem, pomyślał Ellis. Obydwaj to

silni, okrutni ludzie, nieznający uczucia przyzwoitości czy litości. Gdyby Pepe był Rosjaninem, pracowałby w KGB; gdyby Borys był Francuzem, działałby w mafii.

— Pokażcie mi tę bombę — powiedział Borys.

Pepe otworzył neseser. Był wyładowany blokami żółtawej substancji wielkości pięć na pięć cali. Borys ukląkł na dywanie obok walizeczki i wskazującym palcem nacisnął jeden z bloków. Substancja ustąpiła pod nim jak kit. Borys ją powąchał.

— Zdaje się, że to C trzy — powiedział do Pepe.

Pepe skinął głową.

— Gdzie mechanizm?

— Ellis ma go w plecaku — pośpieszył z odpowiedzią Rahmi.

— Nie, nie mam — powiedział Ellis.

W pokoju na moment zrobiło się bardzo cicho. Przez przystojną, młodą twarz Rahmiego przemknął cień paniki.

— Jak to? — wybąkał speszony. Jego przerażone oczy przesunęły się z Ellisa na Borysa i z powrotem. — Mówiłeś... powiedziałem mu, że przyniesiesz...

— Zamknij się — przerwał mu obcesowo Borys. Rahmi zamilkł. Borys patrzył wyczekująco na Ellisa.

— Obawiałem się, że to pułapka — powiedział Ellis z wystudiowaną obojętnością, do której było mu daleko — zostawiłem więc mechanizm w domu. Może tu być za parę minut. Muszę tylko zadzwonić do mojej dziewczyny.

Borys przyglądał mu się uważnie przez kilka sekund. Ellis robił, co mógł, żeby wytrzymać jego wzrok.

— Dlaczego uważałeś, że to może być pułapka? — zapytał wreszcie Borys.

Ellis pomyślał, że próba usprawiedliwiania się będzie wyglądała na przejście do defensywy. Nie dało się ukryć, że pytanie było zaskakujące. Spojrzał arogancko na Borysa, potem wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Borys cały czas przyglądał mu się badawczo.

— Ja zatelefonuję — powiedział w końcu.